

KAZIMIERZ DRYJA

MÓJ UDZIAŁ W WOJNIE OBRONNEJ (FRAGMENT NIEPUBLIKOWANYCH PAMIĘTNIKÓW)



Kazimierz Dryja,
zdjęcie wykonane ok. 1940 r.

W lutym 1938 r. zostałem powołany do odbycia służby wojskowej w 6-stym Pułku Artylerii Lekkiej w Krakowie – Łobzowie¹.

Nie mając średniego wykształcenia – matury, którą zdałem dopiero w czerwcu 1938 r., nie mogłem być wcielony do Szkoły Podchorążych, ale jako prosty żołnierz – kanonier rozpocząłem służbę wojskową. Po tzw. rekruckim stażu zostałem zakwalifikowany do szkoły podoficerskiej, którą ukończyłem z wyróżnieniem w stopniu bombardiera. Po awansie na stopień kaprała zostałem działonowym, tj. dowódcą najmniejszej jednostki organizacyjnej artylerii. Podległy mi działon liczył 14 ludzi, tj. jednego działonowego, jednego jaszczowego odpowiedzialnego za tabor koni i 6 jezdnych oraz 6 kanonierów obsługi działa o kalibrze 75 mm.

Czternastu artylerzystów, składających się na działon pod moim dowództwem, zajmowało jedną salę na pierwszym piętrze budynku przy ul. Podchorążych w Krakowie.

Szkolenia z naszego zainteresowania były przeprowadzane na siódmym forcie mieszczącym się u wylotu ul. Rydla w Krakowie. Ostre strzelania do pozorowanych celów odbywały się na poligonie wojskowym w okolicy Dęba – Rozalin w woj. tar-

¹ 6 Pułk Artylerii Lekkiej (6 pal) powstał w maju 1919 r. na bazie wcześniej zorganizowanych oddziałów. Geneza oddziału wiąże się z organizowaniem w październiku i listopadzie 1918 r. w Nowym Targu – 1 Pułkiem Artylerii Górskiej oraz w Krakowie w styczniu 1919 r. – 3 Pułkiem Artylerii Wałowej (przemianowanego na 2 Pułk Artylerii Górskiej). Z chwilą przybycia wojsk gen. Hallera część żołnierzy z jednego i drugiego pułku weszła do utworzonego 6 Pułku Artylerii Polowej. Pułk brał udział w działaniach w 1919 r. oraz w wojnie polsko-bolszewickiej. Stacjonował w garnizonie Kraków-Łobzów, w koszarach im. gen. Wincentego Aksamitowskiego (ul. Bartosza Głowackiego, obręb fortu VII). 31 grudnia 1931 r. przemianowano 6 Pułk Artylerii Polowej na 6 Pułk Artylerii Lekkiej. Był on organiczną jednostką artylerii 6 Dywizji Piechoty. Opracowano na podstawie: K. Kuś, *Zarys historii wojennej 6-go pułku artylerii polowej*, Warszawa 1929; R. Łoś, *Artyleria polska 1914-1939*, Warszawa 1991; J. Pabich, *Niezapomniane karty. Z dziejów 6 Pułku Artylerii Lekkiej*, Kraków 1982.

nobrzeskim. W ostrym strzelaniu do celów wzięłam udział dwa razy: pierwszy raz w 1938 r. jako celowniczy, drugi raz jako działonowy na wiosnę 1939 r.

Wybuch wojny obronnej we wrześniu 1939 r. zastał mnie w służbie czynnej w 6 pal-u, w stopniu kaprała, na stanowisku dowódcy działonu. Mój działon jako pierwszy wchodził w skład 5-tej baterii, składającej się z 4-ech dział 75 mm wraz z 4-ema jaszczkami, tj. wozami amunicyjnymi. Dowódcą baterii był por. Franciszek Duszczyński. Wyższą jednostką organizacyjną był dywizjon, w skład którego wchodziły 3 baterie, w moim przypadku 4, 5 i 6-sta bateria. Dowódcą dywizjonu był major Jan Gintel. 6 pal składał się z 3-ech dywizjonów, których dowódcą był pułk. Franciszek Szechiński². 6 pal wchodził w skład 6 Dywizji, do której przynależały 3 pułki piechoty, a to: 12, 16 i 20-sty. Dowódcą 6-stej Dywizji był gen. Bernard Mond³. Do 6-stej Dywizji organizacyjnej przyłączone były jeszcze inne jednostki wojskowe jako pomocnicze o mniejszym znaczeniu. 6-sta Dywizja jako jedna z jednostek organizacyjnych armii Kraków, której dowódcą był gen. Antoni Szyling, miała za zadanie obronę Śląska przed nawałą niemiecką⁴.

Pod koniec sierpnia 1939 r. ruszyliśmy szybkim marszem w kierunku granicy niemieckiej, aby zająć stanowisko artyleryjskie wcześniej ustalone i przygotowane. Rankiem dnia 31 sierpnia za miastem Zator na Śląsku zostaliśmy ostrzelani z karabinów maszynowych przez 3 myśliwskie samoloty niemieckie lecące nisko nad kolumną marszową pułku. Na szczęście nie ponieśliśmy żadnych strat, nie było również paniki. My nie oddaliśmy ani jednego strzału, po prostu amunicja nie została jeszcze rozdzielona. Bandycki napad 3 samolotów niemieckich jeszcze w czasie przed wypowiedzeniem wojny wywołał w naszym dowództwie wojskowym duże poruszenie i szereg interwencji u władz wojskowych w Warszawie.

² W oryginale jest: Jan Szechiński. Błąd ten powtarza się w dalszej części tekstu.

³ Bernard Stanisław Mond (ur. 14.11.1887 w Stanisławowie, zm. 5.07.1957 w Krakowie). Polak pochodzenia żydowskiego, syn urzędnika kolejowego Maurycego i Salomei Spanier. Uczestnik I wojny światowej, brał udział w obronie Lwowa. Od 20 grudnia 1919 r. do 6 czerwca 1920 r. był dowódcą I Batalionu 6 Pułku Piechoty Legionów. 6 czerwca 1920 r. został ranny pod Kijowem i przebywał na leczeniu w Krakowie. 30 czerwca 1920 r. objął dowództwo nad 205 Ochotniczym Pułkiem Piechoty wchodzącym w skład I Brygady Dywizji Ochotniczej. Od maja do października 1921 r. był komendantem Miasta Wilna. 21 grudnia 1932 r. Prezydent RP Ignacy Mościcki awansował go na generała brygady ze starszeństwem z dniem 1 stycznia 1933 r. i 4. lokatą w korpusie generalów. W kampanii wrześniowej dowodził 6 Dywizją Piechoty. Bronił „korytarza pszczyńskiego”, na który nacierała niemiecka 5 Dywizja Pancerna. 20 września 1939 r. wraz z dywizją złożył broń po bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Przebywał w niewoli niemieckiej w oflagach VII Murnau, IV B Königstein i VI B Dössel. Po wyzwoleniu obozu trafił do Francji, skąd powrócił do Krakowa. Pochowany na Cmentarzu Wojskowym przy ul. Prandoty w Krakowie. Opracowano na podstawie: T. Kryśka-Karski, S. Żurkowski, *Generałowie Polski Niepodległej*, Warszawa 1991, P. Stawicki, *Słownik biograficzny generałów Wojska Polskiego 1918-1939*, Warszawa 1994, s. 225-226.

⁴ Szerzej o strukturze organizacyjnej Armii "Kraków" oraz o jej udziale w wojnie obronnej 1939 r. w: W. Steblik, *Armia „Kraków” 1939*, Warszawa 1975.

O świcie dnia 1-ego września zajęliśmy stanowiska bojowe na skraju wsi Ćwiklice pod Pszczyną⁵. Po lewej stronie od nas w odległości ok. 1 km zajęła stanowisko czwarta bateria. My jako piąta bateria byliśmy w środku, a po prawej stronie od nas zajęła stanowisko szоста bateria naszego pułku. Tak więc II Dywizjon 6 pal-u mieliśmy w zasięgu naszego wzroku.

Pierwszego września ostrzeliwaliśmy dalekie cele nieprzyjacielskie, kierując się pomocą wysuniętego do przodu punktu obserwacyjnego, którym kierował por. Franciszek Duszczyński. Ostrzeliwanie dalekich celów dla nas niewidocznych możliwym było przez kontakt telefoniczny pomiędzy stanowiskiem baterii a wysuniętym punktem obserwacyjnym, który kierował ogniem artyleryjskim. Właściwa walka z czołgami niemieckimi rozpoczęła się 2-ego września po przełamaniu przez nieprzyjaciela linii obrony naszej piechoty.

Dnia 2 września po krótkim, ale dalekim na odległość 8-10 km ostrzale stanowisk nieprzyjacielskich otrzymaliśmy meldunek z punktu obserwacyjnego, że na przedpolu pojawiły się czołgi niemieckie i należy działony przygotować do walki z nimi. W tym przypadku kierowanie ogniem dział a całą obroną przejmuje dowódca działonu – działonowy. Mieliśmy pełny zapas amunicji – granatów. Przy czym jedne z granatów miały zapalniki, które powodowały detonację pocisku i jego rozprysk po uderzeniu w cel. Dlatego nadawały się do walki z piechotą nieprzyjacielską.

Granaty posiadające wkręczone zapalniki z miękkiego materiału lecąc ruchem wirowym, przebijały blachę czołgu o grubości do 2 cm i rozpryskiwały się w jego wnętrzu. Były to pociski specjalnie dostosowane do walki z czołgami. Załoga baterii składała się z artylerzystów będących w służbie czynnej, wyśmienicie wyszkolonych, oraz rezerwistów, którzy byli mniej przydatni przy obsłudze działa. Dwa pierwsze działa obsadzone były przez służbę czynną, zaś pozostałe rezerwistami. Szybko ustaliliśmy, że dwa pierwsze działa, mające jak najbardziej sprawną obsługę, będą strzelać do czołgów na wprost pociskami do tego dostosowanymi, zaś pozostałe działa będą strzelać do ewentualnie atakującej piechoty nieprzyjaciela granatami z wkręconymi zapalnikami rozpryskowymi. Tak też rozmieściliśmy amunicję.

Po przerwie w ostrzeliwaniu nieprzyjaciela ogniem o dalekim zasięgu przyszedł do nas meldunek ze stanowiska ogniowego, że klin czołgów niemieckich gen. Reichenaua⁶

⁵ Bitwa Pszczyńska toczyła się w dniach 1-2 września 1939 r. jako jedna z bitew granicznych wojny obronnej Polski. Toczone pod Pszczyną walki dzielone są zazwyczaj na trzy etapy: walki na pozycjach przysłaniających w Rybniku, Żorach i Bożej Górze oraz wysuniętych w okolicach wsi Suszec-Branica, Brzeźce, Wisła Wielka – 1 września 1939 r.; walki na pozycjach głównych w okolicach Pszczyny – rankiem 2 września 1939 r. oraz walki w Ćwiklicach – 2 września 1939 r. Zob. J. Ryt, *Bitwa Pszczyńska 1939*, Pszczyna 2007; J. Pabich, *Niezapomniane karty*, op. cit.

⁶ General Walter von Reichenau w trakcie agresji na Polskę był dowódcą 10 Armii, której zadanie polegało na jak najszybszym przełamaniu oporu Armii „Kraków” i „Łódź” i dotarciu do Warszawy. W. Steblik, op. cit., s. 131, 182, 268.

po przełamaniu naszych stanowisk piechoty zbliża się szybko do naszych stanowisk, zajmowanych przez nasz dywizjon.

Już z daleka usłyszeliśmy szum czołgów. W pewnym momencie na naszym przedpolu zobaczyliśmy chmurę kurzu, z którego zaczęły się pokazywać pojazdy nieprzyjaciela. Czołgi zaatakowały najpierw czwartą baterię odległą od nas ok. 1 km. Nam czołgi niemieckie pokazały się od nas w odległości ok. 1,5 km, dlatego nie zdecydowaliśmy się jeszcze na otwieranie ognia.

Na taką odległość trafienie czołgu było dość problematyczne z uwagi na paraboliczny tor pocisku. Kolumnie czołgów niemieckich udało się staranować działa czwartej baterii i przeć dalej w kierunku naszej baterii oraz w dalszej perspektywie w kierunku szóstej baterii. Aby nie zdradzić naszych stanowisk, ustaliliśmy, że rozpoczynamy ostrzeliwanie czołgów dopiero na odległość 300-400 m. Jak na nasze działa o kalibrze 75 mm i wadze pocisku – granatu około 10 kg była to odległość, którą można porównać do odległości 25 m dla zwykłego ręcznego karabinu. A więc bardzo niewielka. Ta nasza decyzja zaważyła na bezpośrednim starciu z czołgami i na jego wyniku.

Jako dowódca pierwszej baterii dałem sygnał do rozpoczęcia ataku na czołgi w momencie zbliżenia się nieprzyjaciela na odległość 300 m. Od momentu otwarcia ognia zostało unieruchomionych kilka czołgów, kilka zaś spalonych, co wprowadziło zamieszanie w formacjach czołowych nieprzyjaciela. Ich ostrzał naszych stanowisk z karabinów maszynowych nie był już tak intensywny. Natarcie czołgów zostało wstrzymane, a pojedyncze czołgi zaczęły się szybko wycofywać poza wieś Ćwiklice. Pomimo dokonanego odparcia ataku czołgów, nie przerwałam ich ostrzału, prowadząc go jeszcze do odległości 1 km. Rezultat kilkuminutowej walki obronnej z czołgami był dosyć żalony dla atakującego nieprzyjaciela, jak i dla nas. Rozpoczęcie ostrzału czołgów na tak krótką odległość – 300 metrów zadecydowało o skuteczności naszych strzałów i zminimalizowaniu naszych strat. Na przedpolu pozostało kilkanaście czołgów, z tego niektóre spalone.

Rezultat walki dla nas nie był również pomyślny. Zostały rozbite dwa wozy amunicyjne, a także jedno działo, a w moim działonie zginął kanonier-amunicyjny, ja zaś zostałem ranny. Zabito nam również kilka koni, w tym zginął mój wierzchowiec. Po założeniu mi opatrunku przez kolegów po jakimś czasie odzyskałem przytomność. Niestety, koledzy myśląc, że zginąłem, wycofali się na otrzymany rozkaz wydany przez oficera ogniowego. Do piątej baterii był przydzielony telefonista, tzw. „druciarz”, pochodzący z Ropczyc mój kolega Stefan Wośko, który widząc moją sytuację, przyczynił się również do rozsiewanej plotki, że kapral Kazimierz Dryja zginął we wsi Ćwiklice pod Pszczyną. Tym sposobem moja rodzina dowiedziała się od wiarygodnego świadka o mojej śmierci. Fakt ten znajomi zataili tylko przed moją matką. Po odzyskaniu

przytomności zdołałem dosiąść konia luzaka – mój koń zginął od postrzału z karabinu maszynowego – i ostrzeliwany przez dwa czołgi niemieckie dotarłem do następnej wsi. Był to już najwyższy czas, ponieważ czołgi niemieckie okrążywszy wieś, wracały od strony polskiej na nasze stanowiska. Major Jan Gintel, który po wycofaniu się reszty czołgów przedzierał się z punktu obserwacyjnego przez luki połowe ku swojej jednostce wojskowej, w złożonym wniosku o odznaczeniu mnie Krzyżem *Virtuti Militari* tak zrelacjonował przebieg walki w Ćwiklicach: Dnia 2 września 1939 roku ukazały się około godz. 11 niemieckie czołgi przed baterią stojącą na stanowisku w Ćwiklicach. Kaprale Dryja i Herod⁷ wytoczyli natychmiast z własnej inicjatywy działą na pozycje przeciwczołgowe i zwalczali czołgi ogniem na wprost na celownikach 300-400 m, aż do chwili wyjścia czołgów na wysokość wsi Ćwiklice. Działając wśród intensywnego ognia nieprzyjaciela, unieszkodliwili kilkanaście czołgów, spowodowali opóźnienia tempa posuwania się nieprzyjaciela, umożliwili wycofanie się niektórych oddziałów sąsiednich oraz zdołali się sami wycofać w ostatniej chwili przez ogrody⁸.

Podczas krótkiego spoczynku mojego działonu w rejonie wsi Miedzina na naszym przedpolu pojawił się czołg niemiecki, który zaczął nas ostrzeliwać. My nie pozostawiliśmy mu dłużni i za trzecim strzałem nasz pocisk utkwiał w pancerzu czołgu. Czołg zadymił, zrobiła się cisza, a czołg już się nie odezwał. My szybko zaprzodkowaliśmy działą i według wskazań miejscowej ludności ruszyliśmy w poszukiwaniu naszej baterii. Tę złapaliśmy w jednej z kolejnych wiosek, gdzieś między Zatorem a Oświęcimiem.

Mój działon włączył się do piątej baterii, wciąż pozostającej pod dowództwem por. Duszczyńskiego. Taki przebieg miał mój pierwszy dzień walki z czołgami nieprzyjaciela. Był 2 wrzesień 1939 roku.

Następny poważniejszy punkt oporu 6-sta Dywizja zorganizowała w okolicy miasta Skawina na przedpolu Krakowa⁹. Sztab gen. Monda ulokował się w dworku w rejonie wsi Wola Radziszowska. Mój działon wyłączono z piątej baterii i przy-

⁷ Mieczysław Herod urodził się 20 lutego 1918 r. we wsi Rzeplin k. Krakowa. Tam też ukończył cztery klasy, a następnie kontynuował naukę w pobliskiej Skale, gdzie skończył szkołę powszechną. Na ochotnika wstąpił do 6 Pułku Artylerii Lekkiej w Krakowie i już przed wybuchem wojny dosłużył się stopnia kaprala. Za bitwę pod Pszczyną 2 września 1939 r. został odznaczony Srebrnym Krzyżem Wojennym Orderu *Virtuti Militari*. Herod uczestniczył w trzech kampaniach II wojny światowej: wrześniowej, libijskiej oraz włoskiej. Brał udział w walkach o Tobruk i Monte Cassino. Po wojnie zdał maturę w 1946 r. w Liverpoolu. Po powrocie do Polski ukończył studia ekonomiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie przez kilkadziesiąt lat pracował w kombinacie w Nowej Hucie. Zmarł 24 maja 2018 r. w Krakowie. Opracowano na podstawie artykułu prasowego Rafała Grzyba: <https://dzieje.pl/aktualnosci/zmarl-plk-mieczyslaw-herod-jeden-z-ostatnich-zolnierzy-w-andersa>. Mieczysław Herod pozostawił po sobie niezwykle pamiętniki: M. Herod, *Diariusz czasów wojennej tułaczki, lata 1940-1947*, Pszczyna 2016.

⁸ Dokument w posiadaniu rodziny.

⁹ W południe 4 września front przebiegał na linii: Olkusz – Chranów – Plaza – Skawina – Izdebnik – Myślenice. Opisywane zdarzenia miały miejsce w dniach 3-5 września, przy czym natężenie walk przypadło na dzień 4 września. 5 września oddziały polskie wycofały się z zajętych stanowisk.

dzielono do piechoty, jako działo przeciwczołgowe. Por. Duszczyński, obok którego jechałem konno, wskazał mi miejsce do zajęcia przez mój działon, jako stanowisko przeciwpancerne. Rozkazał, abym zajął stanowisko na drugim brzegu wskazanej mi rzeczki. Do tej rzeczki wiodła polna droga o długości ok. 150 m. W tę drogę skręciłem ze swoim działonem. Droga przechodziła w mały wąwóz, a po brzegach tej drogi i tej rzeczki rosły stare wierzby obcinane co parę lat na gałęzie. Przybliżając się do tego potoku o szutrowanym dnie, doznałem pewnego olśnienia. Od razu poznałem tę okolicę, jak gdybym się tam wychował, chociaż nigdy przed tym w tych stronach nie byłem. Poznałem tę okolicę, ponieważ widziałem ją wielokrotnie w moich snach. Zawsze śniło mi się, że jadę tą polną drogą, widzę te wierzby po lewej i prawej stronie drogi, dojeżdżam do potoku i sen mi się urywał. Nie raz we śnie zamykałem oczy, gdy dojeżdżając do potoku, byłem pewny, że na jego dnie zobaczę płynący potok. Dreszcze mi przeszły po plecach.

Stałem się niezwykle ostrożny. Nie zgodziłem się na zajęcie stanowiska na drugim, otwartym brzegu potoku, a więc w miejscu zupełnie nieosłoniętym. Zająłem stanowisko na jego prawym brzegu obsadzonym wierzbami, mając przed sobą otwartą przestrzeń. Za działem rozkazałem wykopać rów o głębokości 1 metra, mający nas chronić przed ewentualnymi pociskami i odłamkami granatów. Przy posiadanych dwóch tępych saperskich łopatach wykopanie rowu było pracą syzyfową. Na szczęście mieliśmy jeszcze siekierkę, przy pomocy której uporaliśmy się z korzeniami drzew.

Po przespanej nocy na stanowisku w godzinach rannych rozpoczął się atak nieprzyjacielski. Zobaczyliśmy nadciągającą od strony zachodniej artylerię niemiecką, w tym cztery działa średniego kalibru, ciągnięte przez pojazdy gąsienicowe. Jak na manewrach działa te zatrzymały się przed nami w odległości ok. 400 m i zaczęły przygotowywać się do zajęcia stanowiska bojowego. Krzyknąłem do celowniczego: Zbyszek¹⁰ celuj na czwarte działo celownik 400. Oczywiście nasze działo było już wcześniej załadowane pociskiem-granatem. Po odpaleniu z działa pocisk-granat upadł idealnie pomiędzy czwartym działem a jego ciągnikiem. Kilka następnych strzałów nie trafiło w cel. To padały 50 m za daleko, to znów za blisko. Niemcy połączeni z powrotem działa z ciągnikami, zaczęli się szybko wycofywać. Sądząc, że celowniczy nie zdaje egzaminu z celowania, zająłem jego stanowisko. Zdołałem jeszcze ostrzelać ostatnie wycofujące się działo.

Po względnej ciszy zaczął się ostrzał naszego stanowiska z pozycji niemieckich obsadzonych na pobliskich wzniesieniach. Ostrzał był tak silny, że stojący za nami w odległości ok. 100 m murowany dom został zniesiony z powierzchni ziemi. Nie

¹⁰ Chodzi o kanoniera Zbigniewa Gołęba opisywanego też w dalszej części wspomnień.

słyszeliśmy poszczególnych pocisków, wybuchy zlewały się w jeden huk. Oczywiście przestaliśmy strzelać, ponieważ cele pozostawały niewidoczne, brakowało nam też amunicji.

Od ołtami pocisków niemieckich uratował nas wykopany rów, który z takim trudem obsługa działa na mój rozkaz wykopała. Nie było w nim za dużo miejsca dla 7 ludzi. Dlatego leżeliśmy w rowie jak śledzie ściśnięci jeden na drugim, ja na wierzchu. I znów mieliśmy szczęście. Jeden z nieprzyjacielskich pocisków-granatów upadł na ziemię wykopaną z rowu, a ponieważ był z zapalnikiem prawdopodobnie piorunującym, to zaledwie dotknął ziemi i już wybuchł. Fontanna ziemi nas przysypała, a cała siła ognia poszła w górę. Ja z początku nic nie słyszałem i nic nie widziałem. Ale nie byłem ranny. Po ustaniu ostrzału nieprzyjacielskiego wyczołgałem się z rowu i dowlokłem się do potoku, w którym przede wszystkim przemyłem twarz i oczy. Spojrzawszy na słońce spostrzegłem tylko zarys kuli. Po jakimś czasie sprawność organizmu powróciła. Sen, który męczył mnie wielokrotnie, w którym widziałem właśnie tę okolicę, w której przedtem nigdy nie byłem, okazał się proroczy. Miałem tę małą satysfakcję, że obsługa działa zaczęła mnie uważać za pewnego maga. Wszędzie tam, gdzie stawaliśmy na stanowisku ogniowym, pytano mnie, czy kopać rów. Następował spokój jak odpowiadałem: tutaj nie będzie potrzebny rów. Tak zdyscyplinowanych żołnierzy nie widziałem nigdy.

A oto relacja przebiegu tych walk majora Jana Gintla: [- -] dnia 3-5 września kapral Dryja przydzielony do oddziału piechoty pod Skawiną zdołał unieruchomić trzy spośród posuwających się czołgów nieprzyjaciela pod własne linie, działając na celowniku 300 m. Dzięki jego celnemu ogniowi należy przypisać zaniechanie dalszego natarcia nieprzyjaciela¹¹.

Z nastaniem wieczoru zostaliśmy ściągnięci ze stanowiska ogniowego do dowództwa znajdującego się we dworku na wzgórzu w okolicy Woli Radziszowskiej. Tam zostaliśmy zaopatrzeni w chleb. Poza tym pułkownik Franciszek Szechiński odznaczył mnie oraz mojego celowniczego Zbyszka Gołęba orderem *Virtuti Militari*¹². Zdarzenie to rozkazał wpisać do akt pułkowych, a samą uroczystość przeniósł na czasy powojenne. Nocleg mieliśmy wyznaczony w samym sąsiedztwie dworu w sadzie owocowym¹³. Noc była ciemna, że oko wykol. Ja jednak zdecydowałem się na rozłożenie załogi w gęstym lasu sosnowym w odległości ok. 100 m od dworku. Tutaj spotkałem się

¹¹ Dokument w posiadaniu rodziny.

¹² Orderem *Virtuti Militari* za kampanię wrześniową 1939 r. odznaczono 22 żołnierzy 6 pał, w tym wspomnianego plk. Franciszka Szechińskiego, por. Franciszka Duszczyńskiego oraz kanoniera Zbigniewa Gołęba. J. Pabich, *Niezapomniane karty, op. cit.*, s. 428-430.

¹³ Najprawdopodobniej chodzi o noc z 4 na 5 września.

po raz drugi z działalnością tzw. piątej kolumny. Niemcy organizowali jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych oddziały składające się z Niemców mieszkających w Polsce oraz ze zniemczonych Polaków, tzw. Volksdeutschwów, tj. renegatów Polaków mających na celu przeprowadzenie dywersji na terenie działań wojennych i współdziałanie z nacierającą niemiecką armią. Pierwszy raz z dywersją spotkałem się na Śląsku. Podczas wycofywania się z pod wsi Ćwiklice i dołączenia do mojej baterii musiałem z moim działonem przejeżdżać przez mostek położony na małej rzece. Tu obstała mnie piechota również wycofująca się po bitwie pod Pszczyną, która nie mogła się przeprawić na drugi brzeg rzeki. Droga prowadziła koło szkoły, z której balkonu zniemczony dyrektor prowadził ostrzał mostku i drogi. Daleko od mostku gromadziła się polska piechota ze sprzętem wojskowym, nie mogąc dokonać przeprawy przez mostek. Ujrawszy mnie, zaczęli mnie molestować, abym oddał chociaż jeden strzał w kierunku szkoły. Nie dałem się prosić. Na mój rozkaz celowniczy na celowniku 600 m oddał strzał w kierunku obwarowanego balkonu. Po pierwszym strzale zniknął balkon i prawdopodobnie dyrektor szkoły. Po uporządkowaniu działła ruszyliśmy dalej, goniąc naszą baterię. Drugi taki przypadek działalności piątej kolumny zdarzył mi się właśnie w zajmowanym przez nas młodniku sosnowym.

Akurat byliśmy w trakcie spożywania skromniutkich racji żywnościowych, gdy usłyszeliśmy kroki. Zachowaliśmy absolutną ciszę. Po chwili człowiek ten – może żołnierz zbliżył się do brzegu lasu i po niemiecku zaczął składać meldunek o położeniu naszych wojsk. W języku niemieckim nie byłem tęgim, pojęcia również nie miałem o możliwości porozumienia się na odległość „bez drutu”. Poza tym nie wszystko dobrze słyszałem. Osobnik ten po nadaniu meldunku szybko oddalił się, a ja jak mogłem najszybciej pobiegłem do dworu, by zrelacjonować zaistniały fakt. Napotkałem majora Gintla, któremu przekazałem ustny meldunek. Dochodziłem do swojego działonu, gdy usłyszałem sygnał alarmu podniesionego przez nasze dowództwo. Ostatnie oddziały wojskowe opuszczały wzgórze, na którym stał dworek, kiedy pierwsze niemieckie pociski padły w jego okolicy. Później dowiedziałem się, że osobnikiem tym był adiutant któregoś z wyższych oficerów polskich. Miał być rozstrzelany następnego dnia za zdradę. Z podobnym typem dywersji niemieckiej spotkałem się jeszcze raz po kilku dniach na nizinie sandomierskiej. Nasza bateria składająca się już tylko z 2 dział i dwóch jaszczy-wozów amunicyjnych – o uszczuplonej ilości amunicyjnej zajęła stanowiska przeciwpancerne na dwóch małych wzgórzach oddalonych od siebie około 1 km. Ja zajęłem stanowisko w tyczkowej fasoli tzw. „Jašku”. Pamiętam, że byłem zmęczony i senny oraz głodny. Zapadłem w krótką drzemkę. Poniżej nas w odległości ok. 600 m. biegła wiejska droga, po której kroczył piechociarz w stopniu kaprała, prowadząc rower. Do roweru miał przytroczony karabin, a na szyi uwią-

zaną lornetkę. Zwrócił moją uwagę fakt, skąd kapral piechoty ma lornetkę, bowiem służbowo mu nie przysługiwała. Żołnierz zdjął z szyi lornetkę, zlustrował okolicę, na pewno nas dojrzał i ruszył dalej. Ja na to nie zareagowałem. Zainteresował się nim mój kolega kapral działonowy Mieczu Herod. Przy pomocy czterech uzbrojonych kanonierów zatrzymał owego kaprala, który nie bardzo mógł się wytłumaczyć, z której jednostki wojskowej pochodzi. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że zatrzymany przez kolegę rzekomy kapral został odstawiony do komendy. Okazał się po prostu szpiegiem i dywersantem niemieckim.

Ale wróćmy znów do opisu walk obronnych. Po spotkaniu z czołgami niemieckimi pod Skawiną wycofaliśmy się dalej na wschód, ale już w dość zwartej kolumnie wojska. Następna trasa naszego działonu biegła obok Krakowa przez puszcę niepołomicką aż do przeprawy przez rzekę Rabę przy Ujściu Solnym¹⁴. Tu przeprowadza się w bród piechota, a my staliśmy znów jako działo p. panc., broniąc przeprawy. Jednakowoż brak amunicji powodował, że byliśmy mało skuteczni w razie ataków wroga. Po przejściu rzeki przez piechotę zwinęliśmy stanowisko ogniowe i szybko znaleźliśmy się po jej drugiej stronie. Tymczasem artyleria niemiecka zaczęła się wstrzeliwać w opuszczoną przeprawę. Mój działon, w uzgodnieniu z por. Duszczyńskim, zajął stanowisko na skraju zagajnika w odległości ok. 600 m od przeprawy, mając załadowane działo w oczekiwaniu na „gości” z zachodu. Konie umieściliśmy z tyłu za laskiem w odległości ok. 70 m. Po chwili przeprawa zaroїła się od zmotoryzowanej piechoty niemieckiej. My oddaliśmy parę strzałów w kierunku ugrupowania nieprzyjaciela – niestety, dał o sobie znać brak amunicji – i po szybkim zaprzodkowaniu działa galopem oddaliliśmy się od zajmowanego stanowiska. Za nami słyszeliśmy jazgot niemieckiej broni maszynowej.

W dniu 14 września mój działon i działon kolegi Mieczysława Heroda został przydzielony do oddziału kawalerii w celu współdziałania. Okazało się, że dywizjon artylerii ciężkiej został otoczony przez armię niemiecką i przez to poważnie zagrożony. Nasze wspólne działania z kawalerią na nizinie sandomierskiej – dokładnej nazwy miejscowości nie pamiętam¹⁵ – spowodowało, że zdołaliśmy rozerwać zacieśniający się pierścień niemieckich wojsk i nasz dywizjon artylerii ciężkiej zdołał wyrwać się z okrążenia. Oto jak scharakteryzował major Gintel nasz występ w tym epizodzie: [- -] dnia 13 (lub 14) września, podczas współdziałania baterii z własną kawalerią, dzięki szybkiej i skutecznej akcji działania Dryji i Heroda z otwartych stanowisk,

¹⁴ Opiswane wydarzenia miały miejsce najprawdopodobniej 6 września. W. Steblik, *op. cit.*, s. 218 i n.

¹⁵ Prawdopodobnie chodzi o działania w rejonie wsi Lipa. Krakowska Brygada Kawalerii znalazła się tam w dniu 13 września. W. Steblik, *op. cit.*, s. 448 i n. Następnie połączone oddziały zaczęły wycofywać się w kierunku Janowa Lubelskiego.

udało się zatrzymać posuwające się niemieckie czołgi, a przede wszystkim uratować zagrożony dywizjon artylerii ciężkiej, który przypadkowo znalazł się pomiędzy liniami. Wybitnie współdziałał tu także celowniczy Gołąb¹⁶.

W tym czasie zdawaliśmy sobie już sprawę, że walka z najeźdźcą jest z naszej strony przegrana. Rozmawiałem dużo na ten temat z por. Franciszkiem Duszczyńskim. Zdecydowaliśmy, by dalej uczestniczyć w obronie ojczyzny, pomimo że w jaszczu mieliśmy tylko parę naboji, zachowanych na wszelki wypadek. Zresztą stan ducha żołnierzy był doskonały. Przytoczę tu tylko jeden przypadek wzorowej dyscypliny¹⁷. Nocowaliśmy niedaleko rzeki San, kiedy rankiem poderwał nas na nogi alarm bojowy. Szybko stanęliśmy w szyku bojowym gotowi do dalszego marszu i działania. I tu okazało się, że jak kamień w wodzie przepadł nasz celowniczy Zbyszek Gołąb. Wszelkie poszukiwania nie dały rezultatu. Pomyślałem: zdezerterował. Był to dla mnie bardzo przykry wypadek, ponieważ jego stawiałem jako wzór żołnierza. Zdawałem sobie sprawę, że przychodzi chwila na podjęcie decyzji co do rozbrojenia, ale nie przez dezercję. Wiedzieliśmy już, że Warszawa jest otoczona. Nasze najwyższe władze państwowe i wojskowe gnały co sił w nogach, aby drogą przez Zaleszczyki znaleźć się jak najszybciej za granicą. Na tym tle fakt dezercji celowniczego Zbyszka Gołąba stanowił niewidoczny epizod, jednak nas poruszył. Tymczasem dojeżdżając do wsi Raniżów, położonej obok rzeki San, nasza bateria składająca się już tylko z 2 dział i 2 jaszczy amunicyjnych doznała pewnego przyjemnego wstrząsu. Około godz. 10 rano przy dobrej widoczności zobaczyliśmy biegnącego za nami żołnierza. Wkrótce zatrzymałem swój działon, gdy spostrzegłem, że tym żołnierzem jest nasz celowniczy kanonier Zbyszek Gołąb. Biedaczysko gonił za nami ponad 20 km. Na poprzednim postoju zmęczony zaszył się w kopie siana i spało mu się tak dobrze, że przespał nasz odjazd ze stanowiska. Przepraszał za to i prosił, aby go nie karać.

A ja uściskałbym go mocno za jego dyscyplinę i wrodzony głęboki patriotyzm. Cechy te były głęboko zaszczerpione w sercach całej załogi. Wśród 6 jezdnych narodowości ukraińskiej nie powstała myśl o ewentualnej dezercji. Wypełniali swoje zadania żołnierskie wzorowo do końca, mimo że przecież ziemię ukraińskie – skąd pochodzili – były coraz bliżej. Porównanie wychowania obywatelskiego, dyscypliny wojskowej, miłości ojczyzny w ówczesnych czasach ze stanem dzisiejszym pozostawiam Wam czytelnicy do oceny. Rozpacz nas brała, gdy w wozie amunicyjnym znalazły się tylko 3 naboje – granaty.

¹⁶ Dokument w posiadaniu rodziny.

¹⁷ W tym miejscu autor cofa się nieco w czasie, opisywany epizod miał miejsce około 10-11 września.

Przez miasto Janów Lubelski, zbombardowane dwukrotnie¹⁸ przez lotnictwo niemieckie, przejechaliśmy nocą, osiągając większe zgrupowanie wojsk w lasach w pobliżu Janowa¹⁹. Była to zbieranina oddziałów z rozbitych jednostek wojskowych. Dowództwo nad tą zbieraniną wojskową objął emerytowany pułkownik. On to zarządził odprawę oficerów i podoficerów, na której zapoznał nas z ogólną sytuacją wojskową i krajową²⁰. Tu dowiedzieliśmy się, że:

- otoczona Warszawa walczy, nie poddając się,
- nasze najwyższe władze państwowe i wojskowe opuściły Warszawę, podążając przez Zaleszczyki za granicę,
- wojska rosyjskie przekroczyły granicę z Polską na całej jej długości. Jakie cele wojskowe do osiągnięcia założyła sobie Rosja, wkraczając do Polski, mogliśmy się tylko domyślać.

Biorąc pod uwagę ogólnie zaistniałą sytuację wobec całkowitego fizycznego wyczerpania piechoty:

- poodparzane nogi,
 - brak amunicji i żywności,
- pułkownik zarządził częściową demobilizację z zaleceniem:
- marszu w kierunku Warszawy jednostek do tego jeszcze zdolnych,
 - przebijania się za granicę drogą przez Zaleszczyki, aby u boku armii zachodnich kontynuować dalszą walkę,
 - rozbrojenie się i udanie do miejsca zamieszkania.

Decyzję w tej sprawie pozostawił poszczególnym oddziałom i dowódcom. W zgrupowaniu tym, w którym dowództwo objął wspomniany pułkownik, znalazły się jednostki wojskowe, składające się z resztek rozmaitych oddziałów rozbitych w poprzednich potyczkach. Nie byłem zdziwiony, gdy spotkałem tam podchorążego piechoty, mojego kolegę Franciszka Bączyńskiego, syna mojego nauczyciela z Ropczyc – również Franciszka. Znalazł się tam także porucznik piechoty Samulski, jak i my pochodzący z Ropczyc, z tzw. Stawiska, kolega mojego zmarłego brata Władka. Po ogólnej odprawie pułkownik zwolnił wszystkich żołnierzy z przysięgi żołnierskiej, dając im możliwość swobodnego decydowania o swoim losie. Potworzyły się mniejsze zgrupowania żołnierskie, aby przedyskutować zaistniałą sytuację i powziąć decyzję co

¹⁸ W rzeczywistości Janów Lubelski był bombardowany trzykrotnie, w dniach: 8, 13 i 15 września. Wspomnienie dotyczy zapewne dwóch ostatnich bombardowań z 13 i 15 września; na podstawie: „Płonący Janów we wrześniu 1939 roku. Materiały z sesji «Janowski wrzesień 1939. 75 rocznica wybuchu II wojny światowej»”, zorganizowanej 17 września 2014 r. przez Urząd Miejski w Janowie Lubelskim.

¹⁹ Najprawdopodobniej ów przejazd miał miejsce w nocy z 16 na 17 września.

²⁰ Opisowana odprawa miała miejsce rano 17 września na odcinku pomiędzy Janowem Lubelskim a Frampołem.

do dalszego postępowania. Ja znalazłem się w grupie, w której byli m.in. inni żołnierze z 6 pal-u, a mianowicie kapral Mieczysław Herod, por. Franciszek Duszczyński, dowódcy działonów 2 i 3-go oraz z 21 pal-u, wspomniani wyżej koledzy z Ropczyc Franciszek Bączyński i por. Samulski. Za rozbrojeniem się i odejściem do rodzinnych stron nie padła ani jedna propozycja. Wszyscy opowiadali się za kontynuacją walki. Co do podjęcia kierunku dalszych działań wojskowych przy naszych ograniczonych możliwościach wojskowych stworzyły się trzy odmienne stanowiska, a to:

- wziąć udział w obronie Warszawy poprzez szybki marsz w kierunku stolicy i uderzenie na armię niemiecką, otaczającą Warszawę od tyłu,

- dołączenie się do armii rosyjskiej i z nią kontynuować walkę z Niemcami. Wierzone bowiem jeszcze, że armia rosyjska wkroczyła w granice Polski jako sojusznik Polaków, a wróg Niemców,

- wziąć udział w dalszej walce z wrogiem przez wcielenie się do wojsk francusko-angielskich, walczących na froncie zachodnim z Niemcami. Marzeniem było przedostanie się do Francji przez m. Zaleszczyki do zaprzyjaźnionej w tym czasie Rumunii, a stamtąd drogą morską do wojsk francuskich.

Powzięte przez nas decyzje zaważyły na naszych dalszych losach. Do marszu w kierunku Warszawy zgłosił się por. Duszczyński²¹. Dołączyłem się do niego wraz z moim działonem. Kolega z Ropczyc Franciszek Bączyński – wierząc w dobre intencje Rosjan w stosunku do Polski – ruszył na wschód, aby przy boku Armii Czerwonej walczyć dalej z Niemcami. Został aresztowany przez NKWD i zamordowany w Katyniu. Po odkryciu na wiosnę 1943 r. przez Niemców grobowców pomordowanych oficerów polskich przez rosyjskie służby specjalne nazwisko mego kolegi Bączyńskiego znalazłem w codziennej gazecie „Goniec Krakowski”, wydawanej przez okupacyjne władze niemieckie. Jego nazwisko znalazło się w wykazie pomordowanych oficerów wojska polskiego, których ciała wydobyto ze wspólnych mogił w Katyniu. Kolega Mieczysław Herod przeszedł przez Zaleszczyki do Rumunii, skąd przedostał się do Budapesztu a dalej na Bliski Wschód. Zaciągnął się do wojska jako artylerzysta i wziął udział w wielu walkach na froncie włoskim, m.in. brał udział w bitwie o Monte Cassino. Odznaczony wieloma medalami wojskowymi powrócił do kraju i obecnie zamieszkuje w Krakowie – w dzielnicy Nowa Huta²². Wiem, że por. Samulski przedarł się na zachód, wstąpił do formacji wojskowej, ale o jego wojskowej działalności niewiele się dowiedziałem.

²¹ Dalsza marszruta przebiegała w kierunku Frampola, po czym skierowano się w kierunku północnym, by poprzez Goraj dotrzeć nocą do Turobina.

²² Płk Mieczysław Herod zmarł 24 maja 2018 r. (por. przypis nr 7)

Z części pozostałych żołnierzy „maruderów” utworzyła się jednostka wojskowa, do której dołączył się nasz działon, posiadający w jaszczu zaledwie 3 pociski–granaty. Dołączyły się do tego towarzystwa dwa działony artyleryjskie z rozbitego pod Lwowem 21 pal-u. Nad tymi 3 działonami dowództwo objął por. Duszczyński. Liczyliśmy, że nim dojdziemy do Warszawy, uzupełnimy amunicję po drodze z rozbitych wozów amunicyjnych. Nad całością kolumny dowództwo objął emerytowany pułkownik. Z obawy przed atakami lotniczymi nieprzyjaciela zamierzaliśmy przedzierać się na Warszawę nocami. Działony artyleryjskie zostały rozmieszczone w ten sposób, że mój jechał na czele kolumny, drugi działon umieszczono w środku, a trzeci działon na końcu kolumny. Przy pierwszym dziale – a więc moim – jechał na koniu por. Duszczyński. Jechaliśmy razem łeb w łeb. Na drugą noc wjechaliśmy do miasteczka Turobin²³. Przejechaliśmy przez rynek, wjeżdżając w wąską uliczkę otoczoną parterowymi domkami, prowadzącą w kierunku północnym. W tym momencie zajęchało nam drogę kilka czołgów niemieckich, jadących z przeciwka. Zaskoczenie obustronne było całkowite. Pierwsze strzały w naszym kierunku oddał czołg niemiecki²⁴, od którego zginął przeszyty przez pierś serią z karabinu maszynowego por. Franciszek Duszczyński. Od tej samej serii zginął koń, na którym jechałem obok por. Duszczyńskiego. Koń mój padł, a ja przez jego łeb wylądowałem na ulicy, wyrzucając nogi ze strzemion. Był to tylko moment, ale w tym czasie obsługa mojego działa zdołała samoistnie je odprzodkować, tzn. odprowadzić konie ciągnące działo na chodnik i przygotować je do oddania strzału. Ja wyrzucając nogi ze strzemion, krzyknąłem tylko: Zbyszek odbitkowo. Był to rozkaz do obsługi działa, by skierować lufę działa tak, aby wycelować w ziemię w odległości ok. 50 m od działa. W tym przypadku wystrzelony pocisk–granat uderzając w ziemię około 50 m przed działem, wylatuje w powietrze i rozpryskuje się, raniąc nieprzyjaciela. Była już noc ciemna, że „oko wykol”, takie oddalenie strzału było bardzo celowe, ponieważ tylko jeden czołg był wyraźnie widoczny w zarysie. Po naszym strzale pojazdy nieprzyjacielskie wycofały się. Zdaje się, że był to tzw. zwiad nieprzyjacielski wysłany do zajęcia kolejnego bezbronnego miasta, jakim był Turobin. Ze spotkania z nieprzyjacielem w Turobinie wyszliśmy mimo straty por. Duszczyńskiego obronną ręką²⁵. Nikt z obsługi działa nie tylko, że nie zginął, ale nie został draśnięty. Również konie nie ucierpiały. Ja do dzisiaj nie mogę zrozumieć, jak mogłem wyjść nawet nie draśnięty

²³ Określenie „na drugą noc” nie jest precyzyjne. Opisywane wydarzenia miały miejsce wieczorem 17 września, a więc w tym samym dniu, w którym odbyła się opisywana wyżej odprawa.

²⁴ Chodzi raczej o samochód opancerzony.

²⁵ W walkach na terenie Turobina w dniu 17 września poległo w sumie 6 żołnierzy, w tym najstarszy rangą – por. Franciszek Duszczyński. Zostali oni pochowani na miejscowym cmentarzu. Obecnie miejsce pochówku upamiętnione jest tablicą z nazwiskami poległych. Po wojnie małżonka por. Duszczyńskiego przeniosła szczątki męża w rodzinne strony, pozostawiono jednak jego symboliczną mogiłę.

z tego spotkania z nieprzyjacielem, podczas gdy mój koń padł pode mną zabity serią z karabinu maszynowego. Konie: mój i por. Duszczyńskiego szły obok siebie. My w tym czasie – aby nie zasnąć – rozmawialiśmy.

Prawdopodobieństwo, że jeden z nas zginie, a drugi nie zostanie draśnięty, wynosiło zapewne jak jeden do miliona. Cóż, na wojnie zdarzają się takie przypadki graniczące z cudem. Tak szybkie przygotowanie działa do strzału można tylko zawdzięczać świetnie wyszkolonej obsłudze, składającej się z żołnierzy ze służby czynnej, z którą mogłem porozumiewać się nawet gestami, nie wydając ustnie rozkazu. Oto jak opisał major Jan Gintel walki z czołgami w rejonie miasta Turobin: Podczas cofania się w dniach 16 i 17 września, a zwłaszcza w walkach w rejonie Turobina, zwłaszcza odznaczali się wielokrotnie Dryja, Herod oraz Gołąb przy sposobności zwalczania nieprzyjaciela ogniem na wprost. Należy podnieść w szczególności odwagę i skuteczne działanie jako osłony wycofania się kolumny marszowej, stojąc okrakiem u wylotu drogi miejskiej w Turobinie, aż do ostatniej chwili wytrwali na stanowiskach mimo intensywnego ostrzeliwania ze strony przeważającego nieprzyjaciela²⁶.



Kwaterna poległych w walkach w Turobinie w dniu 17 września 1939 r., wraz z imiennym wykazem pochowanych osób. Fot. Sławomir Dryja.

Marsz tej nocy w kierunku Warszawy został wstrzymany. Emerytowany pułkownik dowódca zgrupowania wojskowego – nazwiska jego nie pamiętam – zarządził odwrót i zajęcie stanowisk w lesie położonym na wzgórzach w sąsiedztwie Turobina²⁷.

²⁶ Dokument w posiadaniu rodziny.

²⁷ Chodzi o niewielki kompleks leśny na linii: Gródki – Huta Turobińska – Tokary.

Ja z rozkazu pułkownika objąłem dowództwo również nad pozostałymi dwoma działami 21 pal-u. Cóż to była za bateria mająca w jaszczach kilka naboju granatów. Po nastaniu dnia byliśmy cały dzień nękani ogniem nieprzyjacielskim z dalszych odległości. Nad nami krążył niemiecki samolot, wypatrując naszych stanowisk – podając koordynaty naszych stanowisk, aby ich artyleria mogła nas ostrzelać. Las nie był zwarty, ot krzaki chłopskie. W takim lesie względnie łatwo ukrywała się piechota przed obstrzałem, ale nie artyleria posiadająca działa, jaszczce i konie. Dlatego działony po każdym przelocie samolotu z mego rozkazu zmieniały stanowiska. Uniknęliśmy przez to strat ludzkich. Przez cały dzień pułkownik dokonał przegrupowania wojska, przygotowując go do dalszego nocnego wymarszu. Nie było z czego sklecić porządnej wojskowej jednostki. To byli „maruderzy” z poobcieranymi, z powodu długiego marszu, nogami, często z karabinami bez amunicji, ale zdyscyplinowani. Ja z rozkazu pułkownika objąłem ze swoim działaniem tylne ubezpieczenie kolumny marszowej. W rzeczywistości ubezpieczenie to było czysto teoretyczne. Nie mając żadnej broni, nawet zwykłego karabinu, a do działa tylko jeden nabój – granat, nie mogłem wystawić żadnych czat, a w razie przypadkowego spotkania z nieprzyjacielem mogłem zarządzić tylko podniesienie rąk do góry.

W celu utrzymania łączności z maszerującą kolumną wysłałem jaszczowego na koniu, aby włączył się w marsz kolumny, co jakiś czas utrzymując ze mną kontakt. Równocześnie zarządziłem chwilowy postój działonu we wsi, zdaje się Gródki, celem znalezienia czegoś do jedzenia dla żołnierzy. Zapukałem we wsi do jednego okienka z prośbą, czy nie sprzedaliby mi chociaż kawałek chleba. Po chwili okienko się otworzyło, wyskoczyła z niego około dwudziestoletnia dziewczyna, ofiarując mi jeszcze ciepły bochenek chleba. Nie wzięła pieniędzy, ale tylko z płaczem rzuciła mi się na szyję, nie mogąc wymówić nawet słowa. Tym sposobem mogłem podzielić bochenek chleba na 13 żołnierzy. Po tym posiłku zarządziłem marsz w kierunku kolumny wojskowej. Jednak do tego marszu nie doszło. Zobaczyłem rozświetlone niebieskimi rakietami niebo w odległości ok. 1 km od nas i usłyszałem tylko jeden wystrzał karabinowy. Takich rakiet używali Niemcy w ciągu nocy celem porozumiewania się między sobą. Od wojskowej kolumny oderwał się mój jaszczowy, wracając do wsi na koniu galopem.

Złożył mi meldunek, że Niemcy otoczywszy całą kolumnę zażądali bezwarunkowego poddania się, na co wyraził zgodę pułkownik, po czym strzałem w głowę odebrał sobie życie. Całe nasze uzbrojenie stanowił tylko jeden pocisk–granat, który wystrzeliliśmy ze wsi w kierunku przypuszczalnego postoju nieprzyjaciela. Z naszej strony był to pożegnalny salut na zakończenie wojaczki. Miałem nadzieję, że Niemcy, słysząc strzał armatni, będą sądzić, że we wsi są poważniejsze siły wojskowe i nie będą chcieli atakować jej w ciągu nocy. Konie rozdał mi mieszkańcom wioski, a armatę rozebra-



**Uroczystość 100. urodzin w Urzędzie Gminy w Zabierzowie.
Jubilat w otoczeniu rodziny i znajomych. Foto – serwis Gminy Zabierzów.**

liśmy. Ze wsi nie mogliśmy się ruszyć z obawy wpadnięcia w ręce Niemców, ponieważ oni oświetlali pola rakietami. Mieszkańcy wsi chcieli nas ukryć przed Niemcami na strychach domów i po stodołach. Nie miało to jednak sensu, ponieważ w dzień Niemcy wyluskaliby wszystkich. Na skraju wsi rozciągał się gęsty młodnik sosnowy. W nim też zaszliśmy się, nie informując o tym we wsi nikogo. Baliśmy się zdrady. W nim przeżyliśmy cały następny dzień. Doskonale słyszeliśmy szwargot Niemców. Byli kilkakrotnie na skraju młodnika, wołając nas do poddania się, ale nie odważyli się wejść do lasu.

Z nastaniem nocy po pożegnaniu się – każdy z żołnierzy ruszył w strony rodzinne. Mnie nie odstępował mój celowniczy Zbyszek Gołąb, dlatego wraz z nim ruszyłem, obierając kierunek na Ropczyce, czyli mój dom rodzinny. Obaj nie byliśmy fizycznie sprawni. Dlatego na przejście drogi około 150 km potrzebowaliśmy całego tygodnia. Nie wiedziałem, co w domu rodzinnym zastanę, ponieważ wcześniej zostałem poinformowany, że Ropczyce były zbombardowane. Wszyscy wiedzieli, że pod Pszczyną zginąłem, a to dzięki koledze Stefanowi Wośko pochodzącemu też z Ropczyc, który rozповідаł, że widział jak zostałem ranny i przywalony przez konia.

Ale przybycie moje w sobotę o wieczorowej godzinie było dla mojej matki, dla tych, co sądzili, że zginąłem, wielkim zaskoczeniem, a dla wszystkich wzruszającym spotkaniem. Dla mnie zaś i dla mego kolegi Zbyszka Gołąbka zakończył się udział w kampanii wrześniowej.